

Zwrotki prozy

z dolnej półki

Unikaliśmy się już drugi dzień.

Wszedłem do ubikacji. Tutaj mnie nie znajdzie. Ale była tu. Nosem zwęchałem jej przykrą obecność. Pozostawiła po sobie niezatarte wspomnienie. Pochyliłem się nad sedesem. Głębiej, na porcelanie smużył się butany uśmiech. Och, moja klaczka! Wzruszyłem się ścichapęk, aż puściłem bąka. To było silniejsze ode mnie. Wetknąłem łeb do środka i pocałowałem ją. Jak niesyty zlizalem jej długi ślad. Tak zostałem. Tułiłem policzek do chłodnej półeczki i mruczałem: – Kocham cię, kocham. – Nie zmieniając pozycji, prawą ręką wymacałem sptłuczkę i spuściłem wodę. W muszli zaszumił ocean, ostudził mnie zimny prysznic. Wyprężyłem się jak struna i podziękowałem Bogu, że nikt mnie nie widzi. A jednak nie mogę bez niej żyć, pomyślałem nagle otrzeźwiały i plując sobie w brodę, z której nadal zwisały resztki treściwego pocałunku, spojrzałem w lustro nad umywalką.

Jedna kuleczka odczepiła się i stoczyła do kanalizacji.

[14 października 2012]

odlot gęsi

Nie mogę się dobudzić, a to dopiero czwartek. Już siedzę, lecz obsuwam się na boki, padam na pysk. Nade mną nic rozsnuło pięć pajków, jakby przez noc przyspieszył czas. Nie widzę tego. Chcę wrócić do świata. Dźwigam się i człapię na balkon. Ale piżdzi. A ja w samej piżamie. Po prawej coś mi świta, a po lewej wciąż jeszcze zaciska powieki. W sumie jest szaro. Kręcę głową, szukam rozczepienia. Słońce od drugiej strony podszywa się pod chmurę. Ono mi pomoże. Przywiera do podbicia, rozptaszcza się na jasnym zamszu. Czuję, jak światło zatrzymują małe grudki. Jak chropowacieje. Pocieram opuszkami palców o opuszkę kciuka, najpierw lewa ręka, potem prawa. Odzyskuję zmysły. Upiornie kraczą kruki, chociaż w oko wpada mi inne stado ptaków, klucz: cienki i daleki jak druciana wsuwka, która została po Tobie w łazience, gdzie matowa żarówka suszy gęsią skórę. Wczoraj mieliśmy rytualny ubój, wczoraj mieliśmy winobranie.

Przypominam sobie i już wiem, dlaczego tak głęboko spałem. To mnie budzi. Jest siódma rano. Pora iść do pracy, pomyśleć o przyszłości, marzenia ulokować tam, gdzie jest ich miejsce. Gaszę w domu wszystkie światła. Po omacku odnajduję wsuwkę i wsuwam ją do kieszeni. – Odprowadzę cię trochę – mówię do siebie, choć w obcym języku. Przed wyjściem jeszcze raz się odwracam. Z dworu przez okno dolatuje już zupełnie nowy dzień. Ruszam mu naprzeciw, lecz nagle przez spodnie w podbrzusze wbija mi się

ta wsuwka.

Syczę z bólu. Nie, to nie ja. To zraniony wąż.
Złośliwość rzeczy martwych
wczorajszych kobiet.

[21 listopada 2013, Nowy Sad]

[6 maja 2014, Nowy Sad]

krótka kołdra

Wczoraj przed snem obejrzałem *Trzeba zabić tę miłość* Morgensterna.
Piękny film.

Potem śniło mi się, że do budańskiego mieszkania na Tölgyfa, w którym każdy z nas spał po swojej stronie łóżka, wbiegł pies obwieszony kostkami trotylu. Zanim się pojawił, patrzyłem na nas z sufitu. Zabierałaś mi kołdrę. – Oddaj, zimno – mówiłem przez sen. Później mój wzrok przeniósł się na zewnątrz, za galerię, między balustrady. Z wysoka widziałem, jak z okien poleciały szyby. Odłamki wbiły się wwyż, by spadać jak śnieg, lekkie płatki pierza.

Eksplodza w zwolnionym tempie niosła wszystko w puch.
Tak, nie w pył, a w puch.

[12 marca 2014, Nowy Sad]

drone music

Rower Dragany zostawiłem przed szkołą. Zawiozłem jej drugie śniadanie: mandarynki, maść na dziąsła, pompkę do roweru, książkę do metodyki oraz analgetyk – i z poczuciem spełnienia piechotą ruszyłem z powrotem do domu. Z półprzymkniętymi powiekami szedłem mokrym nabrzeżem jak przez jesienną drzemkę. Dochodziła pierwsza i przez most znowu jechał pociąg. Długi, towarowy, toczył się bez końca i dudnił. Dudnił, aż tętniła ziemia. Dźwięk, który wydawał, był tak rytmiczny, że wręcz jednostajny. I głęboki, i niski jak burdon z dud czy liry korbowej. Trwający. Coś stałego w obliczu nieustannej zmiany. Coś nieustannego. Jak nazwa rzeki wobec nurtu, rozum wobec myśli. Bieg na zachód, żeby się nie cofać. Podróż, żeby umrzeć pod tą samą gwiazdą.

Zrobiłem dobry uczynek,
brzękła harfa.

Dunaj to mruk rozkazujący.

[15 listopada 2013, Nowy Sad]

ekstazyka

Mannie

Jesień, tutaj dochodzi do pomyłek.
Nie wiadomo, gdzie mgła, a gdzie chmura.

Para ciągnie się nisko i łączy w jedno z wyziewami rzeki, granica nieba i ziemi traci ostrość. Odnosisz wrażenie, że jesteś w samym środku obłoku z nargili, w miękkim, półprzezroczystym dymie o zapachu wody, w sferze, która nie ma końca, przynajmniej nie w mieście. Horyzont zamykają piętra Fruśkiej Góry, wylaniają się jedno za drugim, zza drugiego trzecie, znad trzeciego czwarte: kaskada wzniesień spłaszczonych powietrzem, dekoracja do filmu, płaszcz z wielu podszewek. Kontury gór są widoczne, ale niewyraźne. Idziesz deptakiem, niegdyśjszą keją, wokół wibruje gęstość, niby-cisza, zewsząd biały тумani cię dur. Oczy, uszy mieni oszołomne światło.

I nagle jakby cię pogięto:
– Kurwa, jak tu pięknie! – krzyczysz.
I już nie idziesz, a stoisz.
Stoisz ekstatycznie.

[14 listopada 2013, Nowy Sad]

matészálka, niepamięć

Karolinie i Andrzejowi

15 marca 2010. Bzmot 414. Za oknem gąszcz wierzbowych witek na tle śniegu. Zamaszysty szkic grafitem na szarym kartonie. Ostre kreski. Wy śpicie. Na peronie wzdłuż żółtej linii siwo-czerwony InterPici. Mikre wagoniki i rewidenci w odblaskowych kamizelkach. Zdjęcie. Wasz uśmiech w prochu zadymki pod odwróconymi misami czarno-białego dworca. Przedwyborcze plakaty radykałów. Gábor Vona. Amnesia. Najnowsze centrum zapomnienia. Połączany Ramzes przed restauracja-hotelem o fasadzie w kolorze kiedyś chińskiej czerwieni. Sucha Studnia Siedmiu Wodźów przed zamkniętym domem kultury. Błękitna płyticzna bez wody. 00:00, 0:0 na tablicy wyników po dziecięcych zawodach w szkole podstawowej. Nieczynny szalet publiczny. Kamienny Turul ze skrzydłami lśniącymi jak pancerz skorupiaka. Rudy pies na tańcu przy budzie pod blokiem. Na pustym przystanku reklama: Hell Music Pub. Royal Vodka Akció. Tombola! Totolotek powietrza. Zawiany pas kruków na szczytach gołych brzoź. Niżej gęste świerki. Potem droga na Vállaj-Csanálos. Stop.

Granica rumuńska.

Rozdział żywych i umarłych.

Kto zapomina / kto pisze ze zdjęć.

białe kwiaty

pamięci Martina Lončáka

31 maja 2012 roku po blokach w róż sływały beże płyty wysadzone kamyczkami wyglądały bardzo głęboko chropowata faktura wzmacnianego betonu była bogata arcybogata a światło zachodu miłe pary robiły sobie spacerzy trzymały się za ręce ja też stamtąd wracałem z tego osiedla gdzie wystrzają się granice i samotność bez barier czułem ciepło takie ciepło że wydaje się jakby w mieście nie było bezdomnych rozumiesz kwitła miłość i jakaś roślina wonna w sumie nikt by tego nie opisał bo to było nie do opisanania i nawet rysa nad horyzontem nic nie zmieniła choć nie powiem była wyjątkowa takie pęknięcie na rumianym skrzydle wieczoru zadra w poprzek łagodnego gradientu a to po prostu daleko leciał samolot wniebowzięło mnie przyspieszyłem kroku byle nie zapomnieć byle zapisać byle ble pamiętasz sam tego próbowałeś na pamiętkę na wieczną takie skurcze a teraz się śmiejesz nie śmiej się chcesz coś powiedzieć co mówisz* bez? ale bez czego jakie owce jakie hiaty a potem nagły zmierzch wpadłem do pokoju firanka smyrgnęła mi na twarz łokciem strąciłem szklanekę cicho tylko kliknięcia. I przyszedł ten mail. Ale skype mówił coś innego.

W prawym dolnym rogu do dziś wyświetla mi się, że zaraz

wracasz. Więc jesteś.

Pytanie tylko: gdzie?

albo lepiej: dokąd?

*To był czarny bez, czarne owoce i białe kwiaty – mówisz.



Piotr Wrzosek, *Fotografia*